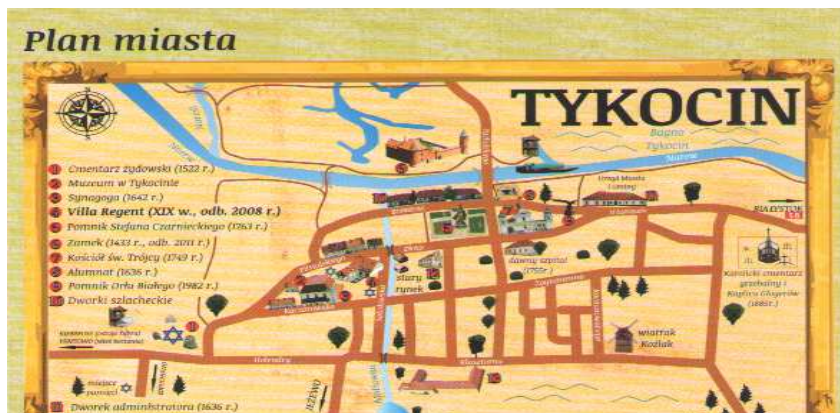


Alan Duben
Uniwersytet Biligi w Istambule
Wydział Nauk Społecznych i Humanistycznych

CO POZOSTAJE? O KSZTAŁTOWANIU SIĘ ŻYDOWSKIEJ PRZYSZŁOŚCI W TYKOCINIE

Zamawiałem właśnie śniadanie w kafejce przy nowojorskiej Lexington Avenue. Kelnerka miała osobliwy akcent. Spytałem, skąd pochodzi.

- Z Polski.
- No, proszę! Moja babcia urodziła się w małym polskim mieście.
- Gdzie dokładnie?
- W miejscu nazywanym Tiktin.
- Ma pan zapewne na myśli Tykocin. Tak wymawia się tę nazwę po polsku. Znam, oczywiście. To niedaleko Białegostoku.
- Zna pani?



Fot. 1. Mapa turystyczna Tykocina

- Tak, to miejsce często odwiedzane przez turystów.
- Tiktin? Tykocin? Atrakcja turystyczna?

*

Jechałem samochodem pośród pól, z drogi głównej Warszawa – Białystok w stronę Tykocina, rozmyślając o czekającej mnie niebawem wizycie w dawnym sztetlu, gdzie urodziła się i wychowała moja babcia. Wiedziałem, że będę przechadzał się po tych samych ulicach, po których ona przechadzała się ponad sto lat temu, mijając zapewne te same domy, patrząc na tę samą rzekę, która wtedy również przepływała przez miasteczko. Wiedziałem również, że uderzy mnie nieobecność połowy tamtejszych mieszkańców. Przybywałem do Tykocina, zastanawiając się co pozostało po żydowskiej społeczności – jeśli cokolwiek – a co zniknęło nieodwołalnie. Rozmyślałem o tym, jak podczas dwóch sierpniowych dni 1941 połowę ludności zamordowano i pogrzebano w okolicy, i chciałem się dowiedzieć, czy o ofiarach nadal się pamięta. Druga, polska połowa miasta nie zaprzętała moich myśli w najmniejszym stopniu. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, by odwiedzić „Tiktin” – wydawało mi się, że miasteczko już nie istnieje. Tkwiło w przeszłości, której – jak mniemałem – odzyskać nie sposób. Czy aby na pewno? Czy jednak nie zapomniałem, że przeszłość jest w znacznym stopniu konstruowana przez teraźniejszość? Wyruszyłem więc w podróż, by zbadać jakie naprawdę jest to odległe miasteczko i czy są tam, w obcej polskiej ziemi, jakiegokolwiek ślady żydowskiej przeszłości – przeszłości mojej rodziny.

Ida Horowitz, z domu Chaje Kurlander, moja babcia ze strony matki, urodziła się w 1893 roku w Tykocinie, miejscu, o którym zawsze mówiła w jidysz jako Tiktinie, obecnie na obszarze północno-wschodniej Polski. Gdy w 1907 roku, w wieku czternastu lat, wyjechała do Stanów Zjednoczonych, w mieście żyło około 5 tysięcy osób, z czego ponad połowę stanowili Żydzi. Dziś liczba mieszkańców zmniejszyła się do około 2100. 24 i 25 sierpnia 1941 roku niemal wszyscy spośród żyjących w Tykocinie Żydów zostali zamordowani przez Niemców w lesie w okolicy wsi Łopuchowo. Po wojnie do miasta powróciła garstka ocalałych, ale sytuacja była na tyle niestabilna, że wkrótce wszyscy wyjechali.

Na pozostałości niegdyś rozległego kirkutu w Tykocinie do niedawna wskazywał umieszczony na skraju znak z napisem po polsku i w jidysz: „Cmentarz żydowski w Tykocinie 1522–1941”, symbolicznie wskazujący na początek i koniec żydowskiej obecności w tej okolicy. Do końca XVIII wieku zamieszkiwała tu najstarsza na Podlasiu społeczność wyznawców religii mojżeszowej, tworząc ważny ośrodek edukacyjny – słynący ze znamienitych szkolarzy – oraz centrum handlu usytuowane nad brzegiem Narwi, które stanowiło łącznik pomiędzy najważniejszymi miastami regionu: Królewcem, Wilnem, Poznaniem, Lublinem i Gdańskiem. W XIX wieku znaczenie miasta zmalało na skutek statusu rosnącego w przemyśle siłę Białegostoku. Gdy Chaje przyszła na świat, Tykocin był już zaściankiem. W dwudziestole-

ciu międzywojennym główna działalność wytwórcza ograniczała się tutaj do produkcji talitów – modlitewnych chust – co trudno było uznać za przejaw ducha nowoczesności.

Eva Hoffman, pisząc o starych polskich sztetlach, zauważa, że „ponury charakter tych miasteczek nie wynikał z ich żydowskości, lecz był rezultatem specyficznego polskiego wymieszania chłopów i Żydów” (132). Dwa narody skazane na siebie społeczno-ekonomicznymi warunkami, współistniały w kulturze wzajemnej nieufności i – często – pogardy. „Czy wiecie, co nadałoby każdemu miasteczku polskiego charakteru?”, pytał niegdyś Józef Ignacy Kraszewski. „Żydzi... Gdy braknie Żydów, mamy do czynienia z obcym krajem...” (cyt. Za: Hoffman, 132). Żydzi i polscy katolicy byli przez stulecia związani ze sobą wspólną, intymną przestrzenią, zamieszkując światy równoległe, znając się i jednocześnie odczuwając głęboką wzajemną obcość. Polacy określali Żydów protekcyjnym słowem „żydki”, ci zaś o polskich sąsiadach mówili „goje”. Dziś nadal powszechnie rozdziela się te dwa filary przeszłości państwa polskiego, jak gdyby polskość i żydowskość wykluczały się nawzajem.

Po wykładzie wygłoszonym 22 października 2013 roku w nowojorskim Instytucie Badań Judaistycznych YIVO, Antony Polonsky, autor wielotomowej monografii *Historia Żydów w Polsce i w Rosji*, został zapytany, czy we współczesnej Polsce można jeszcze dostrzec ślady sztetlowego życia. W odpowiedzi historyk najpierw wskazał na krakowski Kazimierz, a następnie poczynił uwagę na temat Tykocina:

Odwiedzając usytuowany niedaleko Białegostoku Tykocin natrafiamy na doskonale zachowany sztetl – stare szacowne polskie miasteczko, w którego centrum mieszkali Żydzi, i gdzie do dziś stoi synagoga, dom talmudyczny, oraz dawne żydowskie budynki mieszkalne. Polacy wybierali tu lokalizację na obrzeżach miasta.

Podsumowując wypowiedź, Polonsky uderzył w jakże znajomy „żałobny” ton: „Materialnych śladów żydowskiego życia jest mnóstwo – sęk w tym, że nie ma tam praktycznie Żydów”.

Nie tak wyobrażałem sobie Tykocin przed przyjazdem. Jego obraz odbiega od opisu typowego „ponurego” sztetla z książki Evy Hoffman i z opowieści mojej babci. Jak zapewniała mnie nowojorska kelnerka, miasto rzeczywiście stało się turystyczną atrakcją – zarówno dla Polaków, jak i dla Żydów, którzy zjeżdżają tu z całego świata, by podziwiać piękną siedemnastowieczną synagogę (obecnie muzeum), wspaniałą osiemnastowieczną barokową kościół wraz z zespołem klasztornym oraz zrekonstruowany zamek na prawym brzegu Narwi. Jest to również ciekawe miejsce dla miłośników czynnego wypoczynku. Warszawiacy w samochodach z rowerami i kajakami na dachach odnajdują tu piękno natury – uroczne widoki, leniwie wijącą się rzekę, trasy wycieczek pieszych – jak również sposobność odkrywania śła-

dów przeszłości. W skrócie – egzotykę i swojskość. Jedna z broszur, opatrzona tytułem *Tykocin, perła baroku*, zachwala miejsce jako „turystyczny klejnot”: „Jedno z najpiękniejszych polskich miasteczek ...pełne zabytków, z bogatą historią, w bajecznej okolicy”. Na stronie internetowej shtetlroutes.eu. czytamy: „Tykocin to jedno z najbardziej urokliwych miasteczek w Polsce (...) jeden z Siedmiu Nowych Cudów Polski w konkursie magazynu National Geographic Traveller”. Moja babcia Chaje nawet w najśmielszych snach nie mogła sobie wyobrazić, czym po latach stanie się jej skromne rodzinne miasto.

W Tykocinie jest kilka restauracji, w tym dwie „żydowskie”. Jedna z nich znajduje się w piwnicy Małej Synagogi (zwanej Domem Talmudycznym), tj. obecnej siedziby Muzeum Kultury Żydowskiej. Na pierwszym piętrze muzeum rozstawiono ponadstuletnie meble, które sprawiają wrażenie, jakby należały kiedyś do rodziny Zygmunta Glogera, znanego polskiego etnografa, historyka i archeologa, choć naprawdę zostały zakupione specjalnie dla celów wystawienniczych. Gdy byłem tam po raz pierwszy ściany jednego z pokoi zdobiły liczne fotografie rodzinne z początku XX wieku. Choć wszystkie eksponaty zostały najwyraźniej specjalnie „uatrakcyjnione”, całość nie robi większego wrażenia na oglądającym. Na ścianach można również zobaczyć piękne pejzaże autorstwa Zygmunta Bujnowskiego, polskiego malarza, który zmarł w Tykocinie w 1927 roku, w tym jego przedstawienie Starej Synagogi (obecnie nieistniejącej) namalowane we wczesno-impresjonistycznym stylu, który przywodzi na myśl dzieła Van Gogha. Jeden z żydowskich symboli miasta, Mała Synagoga, jest w Polsce traktowany jako dzieło sztuki.

Cieężko jednak uchwycić logiczny związek pomiędzy zgromadzonymi w środku przedmiotami a dawnym, oryginalnym przeznaczeniem budynku (jako Domu Talmudycznego). Najwyraźniej eksponaty stanowią rodzaj „polskiej” przeciwwagi dla przytłaczająco „żydowskiego” charakteru Tykocina, jaki stworzono tu na potrzeby turystów. Całe miasto jest, jak to ujęła Barbara Kirshenblatt-Gimblett, kuratorka Muzeum POLIN w Warszawie, „docelowym muzeum”. Wystarczy wyjść na ulicę, by zobaczyć jedną wielką wystawę. Ale pomysłów, jak z tego faktu korzystać, chyba czasem brakuje.

Zgłodniawszy, postanowiłem zjeść lunch w „żydowskiej” restauracji w piwnicy pod Małą Synagogą, która reklamuje się w języku polskim i angielskim jako „kuchnia żydowska i kuchnia domowa”, obiecując przy tym nutkę nostalgii: „jeśli chcesz, aby Twój powrót do przeszłości trwał dalej...”. Przymiotnik „domowa” kontrastuje tu z „żydowska”, czyli: albo – albo. Gdy wszedłem do środka właścicielka – Polka – natychmiast włączyła klezmerskie melodie. Najwyraźniej nie przyszło jej do głowy, by umilać w ten sposób posiłek polskiej klientce, która zjawiała się wcześniej. Domieszka autentyczności – ale tylko dla turystów. W karcie dań widniały zarówno tak zwane tradycyjne żydowskie, jak i polskie potrawy. W tle brzmiała muzyka ze

Skrzypka na dachu, w kącie stał naturalnej wielkości manekin Żyda w jarmułce, na ścianie wisiało kilka obrazków przedstawiających brodatych Żydów, na bocznym stoliku prezentował się chanukowy świecznik.

Po lunchu wybrałem się do tykocińskiej Wielkiej Synagogi. Zbudowana w 1642 roku, w późno-renesansowym, barokowym stylu, budowla oferuje wspaniałe, przepastne wnętrza, z bimą w centralnym punkcie i ze ścianami pokrytymi starannie wykonanymi hebrajskimi i aramejskimi cytatami w pastelowych kolorach. Akompaniament muzyczny – znowu dziwaczny – to stare piosenki w jidysz. Kilka z nich znałem bezpośrednio od babci, więc nie kryłem wzruszenia. Ale dlaczego takie pieśni rozbrzmiewają w Synagodze? Szczerze wątpię, by babcia kiedykolwiek przebywała w tej bożnicy, ale najprawdopodobniej często ją mijała w drodze na rynek miejski. Tego popołudnia Synagogę zwiedzała grupa starszych Polaków – w ciszy i należytym skupieniu podziwiali wnętrza i wszystkie przedmioty wykorzystywane w żydowskim ceremoniale religijnym. Niemniej, sprawiali wrażenie, jak gdyby mieli do czynienia z osobliwymi artefaktami pozostawionymi przez jakąś zamierzchłą cywilizację, co – jak sądzę – faktycznie odpowiadało ich wyobrażeniu na temat żydowskiej kultury.

Zdziwiło mnie nieco, że Synagoga była otwarta w sobotę. Z drugiej strony, obecnie funkcjonowała tylko jako muzeum. Dla wielu Żydów zmiana statusu budynku – z bożnicy na przestrzeń wystawową – jest psychologicznie trudna do przyjęcia. Dzieje się tak pomimo, a może właśnie z powodu nieobecności Żydów w Tykocinie. Przed Synagogą siedział rozczochrany i zarośnięty człowiek i rzeźbił pamiątkowe figurki „żydków”. Nie był pracownikiem muzeum – po prostu wykorzystywał sposobność i ciche przyzwolenie dla takiej formy zarobkowania. Co pomyśleliby sobie Żydzi z „Tiktina”, gdyby wiedzieli że historia ich życia zostanie kiedyś przerobiona w towar na sprzedaż i przybierze postać ludycznej nostalgii? I że wszystko to stanie się w czasie, gdy naoczni świadkowie tamtych sztetlowych czasów odeszli?

Czy można potępiać lokalną społeczność za chęć zysku na Żydach, których już nie ma? Czy możemy założyć, że ludźmi z Tykocina kierują dobre intencje? Że, jak wielu spośród nas, korzystają z okazji, by się wzbogacić? Niewykluczone, że dla nich nie ma w tym wszystkim nic złego – kultywują przecież pamięć o lokalnej społeczności żydowskiej. I nieważne, że przy okazji przyczyniają się do utrwalania stereotypów, które drażnią znaczną część odwiedzających miasto Żydów.

Nocleg wykupiłem niemalże na wprost Synagogi, w dwupiętrowym domu, który jest częścią szeregu budynków niegdyś należących to tutejszych żydowskich rodzin. Podczas rezerwacji internetowej nie miałem pojęcia, że mieszkanie będzie tak blisko żydowskiej części miasta i że z okna rozpościerał się będzie widok na Wielką Synagogę. Czy dom babci był gdzieś w po-

bliżu? Spacerowałem po okolicy, fotografując stare, zniszczone budynki, starając się upamiętnić skrawek świata podobny – jak mi się wydawało – do tego, który ona zamieszkiwała sto lat temu.

Wynająłem rower – nie ma z tym problemu w zorientowanym na turystów Tykocinie – by objechać okolicę. Pierwszym przystankiem był stary cmentarz żydowski, który obecnie przypominał raczej porośnięte zielskim polem na obrzeżach miasta.

Nieliczne ocalałe macewy wyłaniające się z trawy tu i ówdzie były uszkodzone – niewątpliwie na skutek celowego działania Niemców i ich miejscowych zwolenników. Co dziwne, ten zaniedbany kirkut wyglądał tak, jak gdyby po latach zyskał należny spokój. Zielony dywan pokrył nagromadzone przez stulecia ludzkie szczątki, oddzielając je od trwale zniszczonego świata na powierzchni. Na kilku spośród macew hebrajskie pismo wciąż można było odczytać. Imiona osób, które żyły, pracowały i umarły w Tykocinie na przestrzeni kilkuset lat. Kiedy usiadłem, by odpocząć, uzmysłowiłem sobie ogrom tragedii, jaka dotknęła niewinnych mieszkańców miasteczka, w tym – jak później się dowiedziałem – moją prababcie, jej upośledzonego syna, mojego wujka, który wysłał rodzinę do Ameryki, ale sam pozostał na miejscu, i innych krewnych. Rozmyślałem o tych członkach mojej rodziny, którzy żyli tutaj przed Zagładą – o tym, jak po śmierci znaleźli godny odpoczynek na cmentarzu. Szczerze mówiąc, zasmucił mnie nie tyle sam cmentarz, ile niestosowne zaniedbanie, jakie go spotkało. Choć, z drugiej strony, nie sposób odmówić mu uroku – wiosną pokrywa się kwiatami i zamienia w pole jakby nie tknięte przez czas. Na przeciwległym krańcu miasta znajduje się cmentarz katolicki, gdzie teraz chowa się zmarłych mieszkańców Tykocina.



Fot. 2. Kościół w Tykocinie

W niedzielę uczestniczyłem we mszy. Chciałem poczuć puls życia miejscowej parafii i doświadczyć kościoła jako instytucji działającej – niejako w przeciwstawie do Synagogi-muzeum, która zwrócona jest w stronę przeszłości. Kościół wypełniony był po brzegi – ludzie stali w nawie i w wejściu. Na parkingu nie było miejsc, a na dachach wielu samochodów dostrzegłem rowery i kajaki. Celebrujący nabożeństwo ksiądz odmawiał modlitwy przy sporadycznym udziale wiernych. Jego władza była wyraźnie odczuwalna.

Siedziałem bitą godzinę, zaczarowany: ja, Żyd, antropolog, wnuk Chaje, uczestniczący we mszy w kościele na terenie dawnego sztetla. Domyślałem się, że babcia często przechodziła obok, ale nigdy nie przyszło jej nawet do głowy by zajrzeć do środka. Ja sam czułem się nieswojo w obecności dzieci, wnuków i prawnuków jej „sąsiadów”. Jeśli to słowo w ogóle pasuje do sytuacji. Przyglądano mi się. Nie klękałem, nie śpiewałem pieśni. Ukradkiem wykonałem kilka zdjęć. Czy postępowałem niestosownie? Kim byłem dla tych ludzi? Turystą? Żydem? Typem nieokreślonym? A może tylko mi się wydawało, że przeciągam uwagę? Ktoś, kogo poznałem podczas wycieczki po okolicy, powiedział mi – jakkolwiek jest to nieprzekonujące – że wyglądam jak Woody Allen. Czy ludzie w kościele postrzegali mnie podobnie?

Moment, w którym rozbrzmiały osiemnastowieczne organy, wszyscy wstali, by zaintonować hymn, a dźwięki napełniły ogromne wnętrze kościoła, był zachwycający. Wśród wiernych różnorodność ludzkich typów – od starszych, starannie uczesanych i skromnie acz odświętnie ubranych okolicznych mieszkańców po młodzież i niespokojne dzieci w mniej wyszukanych strojach. Od czasu do czasu rozmowy nastolatków i gaworzenie niemowlęcia sprowadzały mnie z powrotem na ziemię. Wśród osób noszących bardziej niedbałe stroje byli głównie niedzielni rowerzyści i goście z Warszawy lub Białegostoku. Podobnie jak podziwianie przyrody, odwiedziny w Synagodze, smakowanie *kugla* czy *kreplachów*, uczestnictwo w nabożeństwie było częścią bogatego tykocińskiego doświadczenia. Z jednej strony odbywała się tu celebrowanie życia, z drugiej – przywoływanie trudnej przeszłości, której ból – na użytek turystów – złagodzone i osłodzone domieszką nostalgii.

Z powrotem w mieszkaniu. Był czerwiec, ale w pokoju zimno, więc poszedłem do właścicielki zapytać o ogrzewanie. Nie znała angielskiego, a ja nie mówię po polsku. Dała mi do zrozumienia, że zadzwoni do syna, który będzie tłumaczył. Po uzyskaniu połączenia wręczyła mi słuchawkę i rozpoczęliśmy rozmowę. Mężczyzna, jak się okazało, mieszkał w Londynie. Zapewnił mnie, że zajmie się sprawą ogrzewania, po czym ni stąd ni zowąd opowiedział mi o żydowskiej dziewczynie, którą w czasie wojny jego rodzina ukrywała pod łóżkiem. Teraz kobieta, już w sędziwym wieku, mieszka w Nowym Jorku. Dlaczego czuł potrzebę zapewnienia mnie, że jego rodzina to porządni chrześcijanie? Czy dlatego, że wyczuł, iż jestem Żydem? Przede wszystkim jednak zastanawiałem się, co go skłoniło, by przedstawić rodzinę

w „korzystnym” świetle? Czy naprawdę wciąż rozmyślał na tym, co stało się w Tykocinie siedemdziesiąt pięć lat temu? Od czasów wojny dzieliły go przecież dwa pokolenia...

Stopniowo poczułem się w Tykocinie jak w domu. Liczne grupy turystów przyjeżdżały i odjeżdżały, a ja pozostawałem na miejscu, teraz już obeznany z ulicami, domami, a nawet twarzami mieszkańców. Wiedziałem, jak się poruszać po mieście. Przed przyjazdem „Tiktin”-Tykocin był dla mnie miejscem jak z bajki, niczym wioska Anatewka ze *Skrzypka na dachu*. Teraz nabrał realnych kształtów. Przed Synagogą spotkałem nowojorską parę Żydów w średnim wieku wraz z przewodnikiem, który przybliżał im żydowską historię Polski. Fakt, że tkwiłem w Tykocinie od pięciu dni, sprawił ich w zdumienie. Co robiłem przez ten cały czas?

Otóż podczas pobytu przeszłość mojej rodziny stała się namacalna w sposób dotychczas mi nieznany. Nagle poczułem, że to również *moja* przeszłość. Musiałem tylko jeszcze zrozumieć, jakie jest jej tworzywo. W pewnym sensie wszystko wokół wydawało się niewystarczające do odkrywania lokalnych żydowskich dziejów. Dla Polaków mieszkających w Tykocinie przeszłość urzeczywistniała się w samym fakcie bycia i życia tutaj. Tutejsza społeczność regularnie wzmacniała swoje zakorzenienie w tej ziemi, uczestnicząc w cotygodniowych mszach oraz na weselach, pogrzebach, podczas świąt i spotkań w gronie rodziny. Dla wielu Żydów, którzy stąd się wywodzą, pamięć o korzeniach wymaga skoku wyobraźni przez otchłań smutku.

Chciałem się spotkać z rzeźbiarzem sprzed Synagogi. Żałowałem, że w niedzielę nie zrobiłem mu zdjęcia i że nie kupiłem „żydka”. W pierwszym odruchu poczułem niechęć do sprzedawanego przezeń kiczu. Nie znoszę uproszczeń na temat Żydów. Z czasem jednak ujrzałem rzecz w nieco innej perspektywie.



Fot. 3. Rzeźbiarz przed Synagogą

Fakt, iż ten człowiek mógł rzeźbić takie figurki i sprzedawać je turystom, był dla mnie fenomenem wartym antropologicznego namysłu. Kiedy pewnego dnia zauważyłem, jak rozkłada swój warsztat, zasiadłem na ławce naprzeciwko bożnicy, chłonąc czerwcowe słońce i przyglądając się porannej krzątaninie. Odwiedziłem ponownie Małą Synagogę, by w tamtejszym sklepiku kupić znajomym amerykańskim antropologom kilka magnesów lodówkowych z wizerunkami „żydka” – jeden z nich trzymał worek z pieniędzmi, inny sakiewkę z gwiazdą Dawida. Przystówiowi, ponadczasowi Żydzi w najbardziej egzotycznym wydaniu. Postanowiłem też raz jeszcze obejrzeć wystawę. Fotografie na ścianach, wykonane w większości w okresie międzywojennym, przedstawiały sielankowe sceny z życia lokalnej klasy próżniaczej. Najbardziej osobliwa fotografia przedstawiała Żyda – niedbale odzianego, najwyraźniej psychicznie upośledzonego mężczyznę, *meshuggenera*. Był to – co znamienne – jedyny żydowski akcent w tym burżuazyjnym wnętrzu.



Fot. 4. Ubogi Żyd, 1916

Poniżej podpis: „Ubogi Żyd, 1916”. Fotografia pochodzi ze zbioru należącego do żołnierza okupującej podówczas te ziemie armii niemieckiej. Trudno doprawdy zrozumieć, jakim kryterium kierowała się osoba wybierająca eksponaty do tej wystawy. Na drugim planie zdjęcia widać dzieci, najprawdopodobniej żydowskie, stojące w drzwiach, wyraźnie rozbawione wi-

dokiem mężczyzny. Podobnie zachowuje się dziewczynka wyglądająca z okna. Co wzbudzało śmiech sto lat temu? Co możemy dostrzec na tym zdjęciu dzisiaj? A przede wszystkim – jak wytłumaczyć obecność tej fotografii wśród scenek z życia biesiadującej polskiej burżuazji?



Fot. 5. Figurki „żydków” sprzedawane przed Synagogą

Wróciłem do rzeźbiarza, by kupić dwie figurki – „żydka” z *tefillin* na czole czytającego zwoje Tory oraz „żydka” trzymającego worek z pieniędzmi. Później, w drodze na lunch, uznałem, że przydałby się trzeci – kupiłem więc skrzypka. I tak miałem trzy stereotypowe wyobrażenia Żyda – lichwiarza, uczonego i muzyka. Porównałem zakupione figurki z małą drewnianą rzeźbą wystawioną w Synagodze. Ta z bożnicy nie miała typowo „żydowskiej”, odpychającej twarzy – jak to się często dzieje w przypadku pamiątek turystycznych – i zdawała się przedstawiać człowieka pogrążonego w modlitwie, odwróconego od świata wokół.

Nie chodzi mi jednak o wyraz twarzy czy też posturę przedstawianych postaci, lecz o fakt upraszczania i, w konsekwencji, pomniejszania znaczenia Żydów w przeszłości – umieszczania ich w beczasowym, ahistorycznym kokonie, co razi szczególnie, gdy weźmiemy pod uwagę okres stu lat poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej.



Fot. 6. Figurka z Synagogi

Wciąż myślę o zdjęciu żydowskiego szaleńca z muzeum w Małej Synagodze. Dlaczego ludzie (rzekomo) dobrej woli umieszczają tak osobliwe wizerunki w przestrzeni upamiętniającej Żydów? Najwyraźniej eksponat ów ma inne znaczenie dla polskich katolików niż dla Żydów. Tak przynajmniej tłumaczy to zjawisko Erica Lehrer, kuratorka krakowskiej wystawy „Pamiętka, zabawka, talizman” z czerwca 2013 roku, autorka książki *Na szczęście to Żyd. Polskie figurki Żydów* (2014).

Jak na ironię, pomimo swojej fizycznej nieobecności, tykocińscy Żydzi przyczyniają się do rozwoju ekonomicznego miasta – nawet ich śmierć przynosi zyski! Byli siłą napędową lokalnej gospodarki przed Zagładą, a obecnie zapewniają dochód potomkom ich polskich sąsiadów. Figurki, jak zauważa Lehrer, to coś więcej niż wyraz antysemityzmu:

„Moje badania ujawniły niewidoczne pokłady kulturowej zażyłości i emocji, jakimi obdarzeni są w równym stopniu wytwórcy i kupujący, Żydzi i nie-Żydzi. Figurki uosabiają nie tylko odwieczne stereotypy, lecz również ślady historii, traumy i niewypowiedzianej nostalgii... Ukazują obecność żydowskiej przeszłości w świadomości Polaków...” (25)

Rzeczywiście, figurki „żydków” to złożone, wielowarstwowe symbole, ogniskujące szereg historycznych antagonizmów. „Nie tylko dzielą, lecz także łączą Polaków i Żydów na niewidoczne dla oka sposoby” (26). Zbliżając

dwa narody, generują wizerunek Żyda jako odmieńca, Innego, jako postać egzotyczną i obcą, obdarzoną osobliwą siłą. Są talizmanem, który ma przynosić szczęście właścicielowi. O ironio, za sprawą tykocińskich Żydów, którzy w tragicznych okolicznościach odeszli z tego świata, szczęście naprawdę spłynęło na miasto. Jak w takich okolicznościach pogodzić wyjątkową wrażliwość przyjeżdżających tu Żydów i uczucia mieszkających tu Polaków? Jak stworzyć bardziej adekwatny i nieszablony obraz tykocińskich Żydów?

Nadal zaprząta mi myśl kwestia „żydowskiego” menu oferowanego przez dwie spośród tykocińskich restauracji. Sam nie wiem zresztą, co było bardziej irytujące – figurki „żydków” czy niby-żydowskie potrawy. Przed jedną z restauracji wita nas naturalnej wielkości Żyd, siedzący na ławce i grający na harmonii. Wnętrze zdobią porozmieszczane tu i ówdzie napisy w języku hebrajskim, pozdrowienia „szalom” i chanukowe świece, oraz fotografie brodatych ortodoksyjnych Żydów, którzy samą swoją obecnością niejako błogosławią pomysł takiej restauracji. „Villa Regent”, niegdyś dom szacownego żydowskiego lekarza, jest bardziej krzykliwa w sposobie obnoszenia się ze swoim rzekomo żydowskim charakterem niż ma to miejsce w „Tejszy” pod Małą Synagogą. Oferują tu „Kuchnię żydowską w Tykocinie”, ale ortodoksyjni Żydzi nie zjedliby niczego. Miejsce nie jest koszerne.



Fot. 7. Witamy w restauracji Villa Regent

Przytaczam opis czulentu, jednej z potraw podawanych w „Villa Regent”:

Czulent to wolno duszony gulasz z wołowiną (gęsiną lub mięsem z indyka), kaszą perłową i, niekiedy, warzywami. To tradycyjna potrawa na szabasowy obiad, ponieważ można ją było przygotować w piątek i pozostawić w roz-

grzanym piecu tak, by była gotowa następnego dnia. Czulent podany z kieliszkiem czerwonego koszernego wina ma wspaniały smak. *Szabat szalom!*

Trochę tradycji, trochę kulinarnego ciepła dla żydowskich i polskich klientów poszukujących nostalgicznego klimatu...

W „Villa Regent” spotkałem dość korpulentnego, brodatego jegomościa z jarmułą na głowie, który siedział w wyściełanym fotelu w holu (miejsce jest również hotelem). Zaintrygowany, podszedłem sprawdzić, czy mówi po angielsku. „Tak, jestem z Londynu”. „Czy jest pan turystą?”, zapytałem. Odparł raczej szorstko: „Nie, przyjechałem tu do pracy”. Gdy tak rozmawialiśmy podszedł do nas elegancko i tradycyjnie ubrany mężczyzna, z pejsami i kapeluszem z szerokim rondem na głowie. Przypominał nieco rzeźbioną postać sprzed budynku. Sprawiał wrażenie, jak gdyby był aktorem w sztuce na temat dziejów miasta lub polskim statystą przebranym w żydowski kostium na potrzeby niedawno kręconego tutaj filmu o Tadeuszu Kantorze, którego akcja rozgrywa się w latach dwudziestych ubiegłego wieku.



Fot. 8. Tykocińscy statyści do filmu o Kantorze

Mężczyzna przyłączył się do rozmowy. „Jesteśmy rytualnymi rzezakami. Przejeżdżamy tu raz w miesiącu, by przygotować mięso na rynek koszerne w Anglii”. „Dokonujecie uboju zwierząt i odsyłacie mięso z powrotem do Anglii? Co w takim razie sądzicie o tutejszej ‘żydowskiej’ restauracji?”, zapytałem. „To nie jest żydowska restauracja. Nie jest koszerne”, brzmiała odpowiedź. „Nie możecie więc tu jadać. Jak sobie radzicie?” „Przywozimy zapas koszernego jedzenia z Londynu”.

Oto ortodoksyjni Żydzi, niczym powiększone figurki sprzed Synagogi, odwiedzający Tykocin, gdzie już nie ma Żydów, by dokonać rytualnego ubo-

ju zwierząt na rynek angielski. Zatrzymują się w „żydowskim” hotelu, ale jedzenie, które spożywają, przywożą ze sobą z zagranicy. Tykocin jako teatr... Zapytałem, czy zwiedzali miejsca związane z żydowską historią Tykocina, na przykład Dom Talmudyczny czy kirkut. Nie. W przeciwieństwie do reszty przyjeżdżających tu Żydów nie byli zainteresowani sztetlowym sztafajem miasta. Byli tu, by wykonać swoją pracę.

W książce na temat sztetli Jeffrey Shandler, profesor studiów judaistycznych, nazywa Tykocin jednym z polskich centrów „turystyki sztetlowej”: „Tykocin stał się miejscem wielowarstwowej pracy – odnowy architektonicznej, muzealnictwa, turystyki, sztuki performerskiej – która we wszystkich swoich przejawach opiera się na wybiórczym pamiętaniu i zapominaniu” (107). Ale czyż pamiętanie i zapominanie nie jest z istoty rzeczy wybiórcze? Chodzi o to, *co* pamiętamy i *o czym* zapominamy, oraz *dlaczego* to, co pozostaje, co sobie wyobrażamy i co tracimy, podlega zmianom w czasie.

Ile rozmaitych przeszłości ma Tykocin? Żydowska jest tylko jedną z wielu – być może najbardziej wyrazistą poprzez fakt nieobecności Żydów. Jest również przeszłość znana i pamiętana przez obecnych mieszkańców miasta, przeszłość, którą oni przekazują swoim dzieciom. Jest wspaniała przeszłość królewskiego Tykocina, przeszłość znana z podręczników historii. Jest przeszłość dzieci i wnuków Żydów, którzy ocalili z Zagłady, i przeszłość szczęściarzy takich jak ja, których przodkowie wyjechali z Tykocina przed horrorem 1941 roku. Są rozmaite osobiste historie z przeszłości i historie zbiorowości – Polaków i Żydów. Miejscowi, turyści, ci z zagranicy i z kraju, wspólnie kształtują te rozmaite warianty przeszłości w swoich umysłach na podstawie namacalnych i nieuchwytnych śladów, które tu zostały – warianty przeszłości, które wywołują smutek i nostalgię, przywołują heroizm i dumę, wzbudzają żal i poczucie winy; przeszłości, które nieustannie wnikają do teraźniejszości, czyniąc ją zależną i zmienną znaczeniowo.

Jedna z dwóch „żydowskich” restauracji w Tykocinie nosi nazwę „Tejsza”. Jak dowiadujemy się z broszury reklamowej, „tejsza” znaczy „koza”, a zwierzę to w kulturze i obrzędowości podlaskich Żydów było symbolem urodzaju i szczęścia. „Ulica Kozia [przy której znajduje się restauracja] stanowiła zatem nie tylko centrum kultury, ale i szczęścia ... Kozia przez wieki tętniła życiem”. Dowiadujemy się również, że obecnie „Kozia znowu tańczy, śpiewa, ale przede wszystkim pachnie miodem, bakaliami, czosnkiem i radością”. Broszura kończy się odą do Tykocina – „miasteczka-bajeczki”, przypominając turystom, że w ten sposób wyrażała się na jego temat Agnieszka Osiecka: „To miejsce fascynuje swoją niezwykłą historią, ukrytą w każdym kamieniu, w każdej cegle...”.

W Tykocinie życie toczy się dalej, niewątpliwie z tańcem i śpiewem. Wielu dzisiejszych mieszkańców zajmuje domy tych, których zabrano 25 i 26 sierpnia 1941 roku, żyjąc teraz pośród pozostałości po poprzednich wła-

ścicielach – kamieni i cegieł. Tykocin jest, by po raz ostatni odwołać się do broszury, „miastem, w którym można się zakochać”. Zastanawiam się, jak goje z Tykocina zdołali znieść przeraźliwą ciszę, jaka zapadła rankiem 26 sierpnia 1941 roku w opuszczonych domach – w domach, w których nadal stały krzesła, stoły nakryte obrusem, nadal były zabawki, książki, produkty spożywcze na obiad, gdzie w pośpiechu porzucono zwyczajność codziennego życia. I te ulice, sklepy – ciche, opuszczone, puste. Jak można było znieść tę przygniatającą nieobecność? Tego nie dowiemy się nigdy.

Dowiedziałem się, że w przeddzień mojego wyjazdu z Tykocina w Synagodze odbędzie się przedstawienie *Skrzypka na dachu* (a jakże by inaczej) w wykonaniu znanego warszawskiego Teatru Żydowskiego. *Skrzypek na dachu* – nie wiedziałem, co o tym myśleć. Sztetlowy kicz? Kolejna próba kojarzenia Żydów z mało określonym, szablonowym, wymyślonym światem?



Fot. 9. *Skrzypek na dachu* w tykocińskiej Synagodze

Drewniane figurki ożyły w Tykocinie jako postaci z przesłodzonej Anatewki. Z jednym wyjątkiem wszyscy aktorzy byli Polakami. Autentyczny Żyd grał rolę rabina. Czy tak właśnie należy upamiętniać żydowską przeszłość w Tykocinie? Ale stało się. Oto siedziałem w *shulu* (bożnicy) mojej babci, wsłuchując się w występ wspaniałych, przebranych w stroje z epoki artystów warszawskich, którzy wykonywali dobrze mi znajome pieśni. Po polsku. Do oczu napłynęły mi łzy. Z pewnością wśród publiczności nie było nikogo innego, kto miałby tutejsze żydowskie korzenie. Zjawili się tu wykształceni, elegancko ubrani ludzie, podziwiający sentymentalny, pełen no-

stalgi musical o oddalonym, zupełnie obcym im świecie. *Skrzypek na dachu* to nie tylko baśń. Poza wymaginowanym życiem sztettelowym przedstawia przecież traumę mieszkających na terenie carskiej Rosji Żydów w latach poprzedzających pierwszą wojnę światową. Ckliwe zakończenie przemilczmy. Na ironię zakrawa fakt, że *Skrzypek* ukazuje świat unieruchomiony w przedwojennych realiach, taki, do którego podchodzimy bez bolesnych emocji. Niemniej, jedną rzeczą jest obejrzyć musical w teatrze, w bezpiecznym „nieżydowskim” kontekście, inną zaś uczestniczyć w spektaklu wystawianym w „naturalnej scenerii” ikonicznego sztetla, którym stał się Tykocin.

W Tykocinie pamięć o Żydach podlega ciągłej rekonstrukcji – poddawana pracy wyobraźni, układana na nowo, kształtowana wedle potrzeb chwili obecnej. Jest różna od pamięci tych, którzy żyli tu kiedyś. Bowiem ta pamięć, poza nielicznymi wyjątkami, w dużej mierze jest już na zawsze utracona. Czy moja babcia rozpoznałaby we współczesnym obrazie miasta swój „Tiktin”? Antropolog Jack Kugelmass określił to, co zaczęło się w Polsce jeszcze w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, mianem „projektu pamięci”. Dzisiaj, dziesiątki lat później, pisanie wspólnej historii Żydów i Polaków wciąż nie jest zakończone. Ale choć Żydów prawie już w Polsce nie ma, „ponownie stają się uczestnikami w narodowej debacie na temat przeszłości” (Kugelmass 299).

W swoim nowojorskim wykładzie Polonsky zestawiał dwa typowo wschodnioeuropejskie podejścia do historii Żydów – sentymentalny (na modłę *Skrzypka na dachu*) i żałobny („Polska to żydowski cmentarz”). Co ciekawe, oba często występują jednocześnie. Śmiem twierdzić, że pierwsze z nich skrywa chybione w swym zamierzeniu poszukiwanie ikonicznej autentyczności, koncentrując się na „egzotyce” Żyda; drugie zaś, powiększa znaczenie Zagłady kosztem dziejów wieloletniej, względnie harmonijnej kohabitacji obu nacji. Oba podejścia podkreślają fiasko integracji Żydów w polskim społeczeństwie. Zgoda, wielu z nich wiodło żywot osobny i odróżniało się w sposób widoczny od polskich sąsiadów. Nie da się również zaprzeczyć, że Holocaust zniszczył żydowską część kultury polskiej, a to, co z niej pozostało, ma obecnie znaczenie marginalne. Musimy jednak pamiętać, że nawet w swojej wyidealizowanej, „skrzypkowej” wersji, kultura żydowska odznaczała się bogactwem i złożonością – w przeszłości opętani antysemityzmem naziści postanowili ją całkowicie zniszczyć, a obecnie zwolennicy podejścia sentymentalnego jej złożony wymiar ignorują.

Kształtując żydowską przeszłość z mniej radykalnych pozycji, nie należy ulegać stereotypom – Żyda jako egzotycznej figurki, postaci broadwayowskiego musicalu lub ofiary Holocaustu. Wszystkie te wizerunki powinny być osadzone w lokalnym i historycznym kontekście, który z kolei uwzględniałby zróżnicowanie dziejów społeczności żydowskich w Polsce na przestrzeni wieków. Tak jak w przypadku wszelkich uproszczeń, na przedstawie-

nia „Żydów” i „kultury żydowskiej” tworzone w celach czysto komercyjnych należy patrzeć krytycznym okiem. Dzięki wysiłkom edukacyjnym, wystawom i miejscom upamiętnienia – jak choćby ta zamieniona w muzeum tykocińska Synagoga – będzie, jak sadzę, możliwe stworzenie bogatszego i bardziej zniuansowanego obrazu żydowskiej przeszłości miasteczka.

W kontekście lokalnym wiele jest jeszcze do zrobienia, by mocniej osadzić tykocińskich Żydów w świadomości mieszkańców i przyjeżdżających tu turystów, i by odbyło się to przy uwzględnieniu złożonych, często niełatwych realiów dawnego życia obu społeczności. Ignorowanie wciąż odczuwalnego przez Żydów bólu oraz unikanie konfrontacji z niewygodną przeszłością wśród obecnych mieszkańców stoi na przeszkodzie, by zrozumieć problem.

Radości życia, której Żydzi z pewnością doświadczali w Tykocinie nie sposób oddzielić od tragicznego końca, jaki ich tu spotkał. Biorąc pod uwagę często odmienną wrażliwość historyczną obu stron, wyważony osąd przeszłości nie jest wcale sprawą łatwą. Na szczęście w Polsce i poza jej granicami jest spore grono osób, Żydów i nie-Żydów, które zaangażowały się w starania, by lepiej rozumieć złożoność żydowskiej historii w tym kraju. Warszawskie Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, powołane tym właśnie celu, prowadzi zakrojoną na szeroką skalę działalność, której celem jest nowe ukształtowanie naszego postrzegania tysiącletniej historii Żydów na polskiej ziemi.

Tykocin stał się pomnikiem, miejscem na nowo pomyślanego „upamiętnienia”. Miasto przyjęło formę „obiekty pamięci”, by użyć określenia Barbary Kirshenblatt-Gimblett. Synagoga, muzealne wystawy, „żydowskie” restauracje, figurki „żydków”, niezmienny rytuał zwiedzania miejsca przez Żydów i osoby rozmaitych wyznań (także przez autora niniejszego tekstu) – wszystkie te elementy w różnym stopniu modyfikują znaczenie wielowarstwowej żydowskiej przeszłości. Dla turystów, naukowców, artystów i filmowców Tykocin to coś więcej niż atrakcyjne miejsce. Został niejako „zamrożony” bądź to jako wyidealizowany sztetl, bądź jako pozostałość po zniszczonym świecie.

A tymczasem przegląd zwyczajnego, codziennego życia żydowskich mieszkańców miasta wciąż czeka na swoją wystawę. Nie będzie, niestety, łatwo ją zorganizować. Niewielu Żydów przeżyło wojnę – kto miałby więc opisać i przekazać nam jak było? *Sefer Tiktin, Księga pamiątkowa Tiktina*, ułożona z opowieści tych, którzy ocalili, przynosi ledwie garść szczegółów. Niemal wszystkie miejscowe „obiekty pamięci” zostały zniszczone lub rozproszone podczas i po zakończeniu wojny. Mając do dyspozycji niewiele, trzeba zrobić wiele, by zrekonstruować pełniejszy obraz tykocińskich Żydów. Wspólny wysiłek mógłby się przyczynić do lepszego zrozumienia przeszłości miasta przez obecnych mieszkańców, do poprawy relacji między Żydami

i nie-Żydami, których korzenie wywodzą się z Tykocina, i – w końcu – do nieco innego spojrzenia na niełatwą historię Polski przez przybywających tu turystów.

Bibliografia

- Auron-Górska Joanna, *Describing Who? Poland in Photographs by Jewish Artists*. Warsaw Studies in Jewish History and Memory. Germany: PL Academic Research, 2014.
- Bar-Yuda M. and Z. Ben-Nahum. *Sefer Tiktin* (Memorial Book of Tiktin). Tel Aviv, 1959.
- Davies Norman, *God's Playground: A History of Poland*. Columbia University Press, 2005.
- Gruber Ruth Ellen, *Virtually Jewish: Reinventing Jewish Culture in Europe*. University of California Press, 2002.
- Hertz Aleksander, *The Jews in Polish Culture*. Northwestern University Press, 1988 [1961].
- Hoffman Eva, *Shtetl: The Life and Death of a Small Town and the World of Polish Jews*. Public Affairs, n.d.
- Lehrer Erica, *Na szczęście to Żyd: Polskie figurki Żydów/Lucky Jews: Poland's Jewish Figurines*. Krakow: Korporacja Hal!art, 2014.
- Kirshenblatt-Gimblett Barbara, "Objects of Memory: Material Culture as Life Review", in E. Oring, ed., *Folk Groups and Folklore Genres: A Reader*. Utah State University Press, 1989.
- *Destination Culture: Tourism, Museums, and Heritage*. University of California Press, 1998.
- Kugelmass Jack, "Bloody memories: encountering the past in contemporary Poland," *Cultural Anthropology*, 10(3): 279-301(1995).
- Polonsky Antony, *The Jews in Poland and Russia*. Oxford: Littman Library, 2010, 3 vols.
- Restauracja 'Tejsza': *Kuchnia żydowska i domowa*, [broszura].
- Shandler Jeffrey, *Shtetl: A Vernacular Intellectual History*. Rutgers University Press, 2014.
- *Tykocin: perła baroku*, [broszura] (www.um.tykocin.wrotapodlasia.pl).
- Villa Regent, *Kuchnia żydowska w Tykocinie*, [broszura].
- Wolf Larry, *Inventing Eastern Europe*. Stanford University Press, 1994.

Alan Duben

Istanbul Bilgi University

Faculty of Social Sciences and Humanities

WHAT REMAINS? SHAPING A JEWISH PAST FOR TYKOCIN

The essay is a subjective story of Prof. Alan Duben about the town from which his ancestors came. A tale full of nostalgia, irony, but also an attempt to understand the contemporary inhabitants of Tykocin, in which there are no longer Jewish residents: Tykocin in Podlasie: „Ida Horowitz, née Chaje Kurlander, my maternal grandmother, was born in 1893 in Tykocin, a place she always referred to with the Yiddish name Tiktin, in what is now northeastern Poland. When she left for the U.S. in 1907 at the age of fourteen there were about 5,000 people in the town, more than half of whom were Jews. Today there are around 2,100 inhabitants there. On the 24th and 25th of August 1941 all but a few of the roughly 1,500 Jews then living in Tykocin were slaughtered by the Germans in the nearby Lopuchowo forest. After the war the few survivors returned, but the situation proved to be untenable for them and they dispersed around the world. The remains of the once extensive Jewish cemetery in the town until recently had a marker: a sign at the edge of the cemetery in Polish and Hebrew, Tykocin Jewish Cemetery: 1522–1941, the beginning and end of the long Jewish presence in that part of Poland. The oldest Jewish community in the Podlasie region until the late 18th century, Tykocin was a major center of Jewish learning, home to many famous scholars as well as a significant center of trade, located along the Narew River, connecting the town with major cities in the region such as Königsberg, Vilna, Poznan, and Lublin and Gdansk. In the 19th century the importance of the town waned as the fortunes of the nearby industrializing city of Bialystok rose. By the time Chaje was born Tykocin was a backwater. During the interwar period Tykocin’s main manufacturing effort went into tallit, prayer shawls, hardly a modern enterprise”.

Keywords: Tykocin, return, Jewish community, history, contemporariness